

Narodziny i kariera złych miast w trzech

Panuje przekonanie, że w Polsce istnieje tylko jedno złe miasto. Tymczasem złych miast jest w naszym kraju więcej. Można zaryzykować twierdzenie, że nie ma w Polsce ani jednego dobrego miasta. Jest tak dlatego, że oblicze naszych miast było dotychczas tworzone bez udziału mieszkańców. Zmieniają to obywatelskie ruchy miejskie, wyrastające w Polsce jak grzyby po neoliberalizmie.

KACPER POBŁOCKI*

Pojęcie „złego miasta” stworzył w 1907 r. Zygmunt Bartkiewicz, nazywając tak Łódź. [1] Za miasta dobre, czyli polskie „wyspy szczęśliwe” z reguły uważa się Wrocław, Poznań i Kraków [2]. Zarówno miły o miastach dobrych, jak i te o mieście złym, są wytworami marketingowymi. Bez względu na to, kto zwycięży w cyklicznie ogłaszanych rankingach miast, najlepsze polskie miasto i tak pozostanie liderem co najmniej ligi okręgowej. [3]

Wrocław, czyli paw udający tygrysa

Wrocław, ten „paw pośród polskich miast” [4], ma najlepszy wizerunek – bo to przyciąga zagranicznych inwestorów. W ostatnim dziesięcioleciu wchłonął najwięcej po stolicy bezpośrednich inwestycji zagranicznych i wrósł w międzynarodowy region gospodarczy, wykształcony na styku Dolnego Śląska, Czech i Węgier. To tam w ciągu ostatniej dekady przeniosły się zakłady produkcyjne, które w latach 60., wędrowały z północy na południe Europy – za niskimi kosztami, zapewniającymi wysokie zyski. [5]

Gazeta Wyborcza donosiła triumfalnie: „W sierpniu [2007] FagorMastercook uruchomił we Wrocławiu kolejną fabrykę pralek. Dzięki tej inwestycji Polska w 2008 r. stanie się największym producentem sprzętu AGD w Europie” [6]. Niestety, nie ma się z czego cieszyć. Dzisiejszy Wrocław przypomina bardziej Łódź z okresu „ziemi obiecanej” niż europejskie metropolie, do których chciałby się zaliczać. Przyciągnęły tylko takie inwestycje, które szukają

taniej i niewykwalifikowanej siły roboczej. Gdy okazało się, że sytuacja na rynku pracy polepszyła się, a inwestorzy nie będą w stanie znaleźć ludzi gotowych pracować za grosze, prezydent Dutkiewicz, zamiast walczyć o wyższe pensje, zobowiązał się do wybudowania zamkniętych osiedli, przeznaczonych dla tanich robotników z Indii i Chin.

W przeprowadzonym dwukrotnie badaniu (w okresie 1999-2001 oraz w 2007 r.) [7] widać wyraźnie, iż rzekomy sukces Wrocławia odczuwają tylko nieliczni. Nie tylko realne, ale również nominalne zarobki pracowników byłego Polaru (obecnego Whirlpoola) spadły w przeciągu tego okresu, mimo że produkcja wzrosła aż pięciokrotnie. Atmosfera pracy, zarówno w biurach jak i na hali, bardzo się pogorszyła, ponieważ jedynym celem zarządu było wyrubowanie produkcji. O ile wcześniej pracownicy mogli wywierać pewien wpływ na władze zakładu za pośrednictwem związków zawodowych oraz swoich przedstawicieli w radzie nadzorczej, później wszystkie kluczowe decyzje podejmowane były poza Wrocławiem. Polscy pracownicy w zasadzie nie mieli szans na awans. Bariera językowa między nimi a zachodnimi menedżerami przypomina przepaść dzielącą społeczność niemiecko-żydowską i polską w reymontowskiej Łodzi.

O ile pracownicy Polaru byli krytycznie nastawieni do poczynań władz miasta, to osoby pośrednio tylko związane z firmą, często pozostawały zakładnikami mitu Wrocławia. Córka jednego z pracowników, studentka marząca o tym, aby za kilka lat wyjechać do Wielkiej Brytanii i pracować tam choćby na zmywaku, jednocześnie czuła się dumna z tego, że jest wrocławianką. Nie przeszkadzało jej, że miasto, które kocha, nie stwarza żadnych szans na rozwój. Miłość, jak wiadomo, bywa ślepa. Szczególnie, że emocjonalna więź z własnym miastem jest zjawiskiem stosunkowo nowym.

Łódź, czyli meandry nowej urbanizacji

Jak pokazuje Mike Davies w *Planecie slumsów*, współczesny model urbanizacji sięga korzeniami do lat 60. To właśnie wtedy zakończył się w Polsce stuletni etap urbanizacji zcentralizowanej, kiedy to ludzie migrowali do miast największych, takich jak Łódź, skutkiem czego podupadało wiele mniejszych i średnich miast. Szczyt zcentralizowania polskiej urbanizacji przypada na rok 1959, kiedy to 65,6% mieszkańców miast żyło w największych miastach. Później przyrost miejskiej ludności następował głównie w miastach średnich, które miały wcześniej

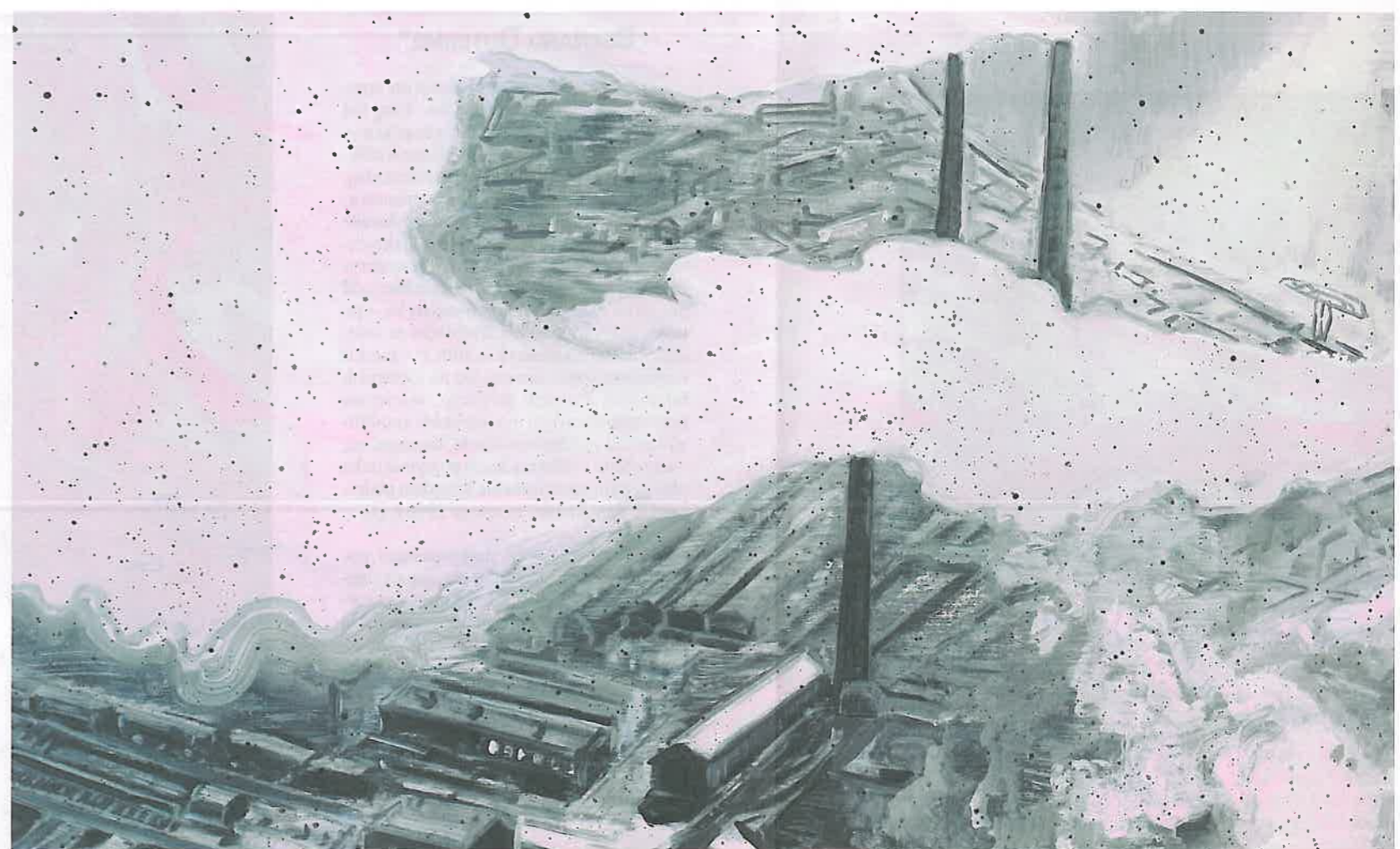
około 10 tys. mieszkańców. Dzisiaj w każdym z nich mieszka około 100 tys. ludzi [8], a najlepszym przykładem jest Bełchatów.

Tendencja ta radykalnie zmieniła rolę największych miast, które przestały być głównymi ośrodkami produkcji. Liderem transformacji była oczywiście Warszawa, która, jak świetnie opisał to Błażej Brzostek, między rokiem 1956 a 1970 przeistoczyła się z ośrodka przemysłowego w urzędniczo-usługowy [9]. Nawet tekstylna Łódź rozpoczęła w latach 60. dezindustrializację i przekształciła się w miasto usług, kultury i nauki. Łódzki dziennikarz pisał z dumą w 1969 r.: „Oblicze Łodzi, nazywanej niegdyś złym miastem, zmienia się na naszych oczach. Jest to proces tak ewidentny, że spokojnie możemy sobie darować liczby obrazujące wielkość nakładów na ogromną przebudowę, która przeobraża nasze miasto w ośrodek pracy i nauki i godny swojej nazwy” [10]. Niestety, wysiłek ten nie był na tyle skuteczny, aby zauważyli to mieszkańcy innych miast. Ponadto został zahamowany przez kryzys lat 80. Tym niemniej nie jest to przypadek, iż zakłady, które pozytywnie przetrwały transformację – Wólczanka oraz Próchnik – stały się „przyczółkami” nowego trendu deglomeracyjnego, ponieważ właśnie w latach 60. przeniosły produkcję z Łodzi do średnich miast województwa [11]. Zakłady, które zostały w śródmieściu, upadły po 1989 r.

Próżnia produkcyjna, jaka wytworzyła się w największych miastach, pchnęła je w kierunku rywalizacji. Między 1860 a 1960 r. miasto nie było spójnym organizmem, ale, jak nazwał to dziennikarz „archipelagiem uliczek, zespołów uliczek i całych dzielnic”. „My – pisał – musimy przepaści między wyspami zasypać piaskiem, wypełnić twardym gruntem” [12]. Osiągnięto ten cel przenosząc ludność z tradycyjnych dzielnic do podmiejskich osiedli mieszkaniowych, oraz dzięki przestrzennemu rozdzieleniu miejsca pracy od miejsca zamieszkania, co wzmogło komunikację wewnątrz miasta.

Jeszcze w latach 60. mit „złego miasta” mógł funkcjonować na salonach literackich, ale zupełnie nie miał przełożenia na to, co przeciętni Łodzianie myśleli o sobie i swoim mieście. Postrzegali siebie w opozycji do mieszkańców wsi, a nie innych dużych miast [13]. Świadomość terytorialna Łodzian miała wtedy charakter dzielnicowy. W latach 90. okazało się, że mieszkańcy Łodzi czują się związani z miastem jako całością [14].

Stopniowo narastająca rywalizacja między największymi miastami (także na polu PR-u)



oraz wykształcenie się tożsamości ogólnomięjskiej, spowodowały, że pojęcie „złego miasta” stało się w Łodzi konstytutywną częścią tego, co Raymond Williams nazwał kiedyś „lokalną strukturą uczuć”.

Aleksander Wallis pisał, że o ile wiedzę na temat miast, w których wszędzie chodziło się piechotą, czerpano z doświadczenia osobistego, to od lat 60. coraz większą rolę w tworzeniu tożsamości miast spełniały mass media [15]. Wrocław już od dawna ma dobrą prasę. Jak pisał w 1975 r. Marcin Czerwiński: „Wrocław swoją wielokierunkową prężnością, swoim znaczeniem kulturalnym i naukowym (poza zasługami produkcyjnymi) zapracował na odniesienie do niego określenie *cud nad Odrą*” [16]. „bo „ziemie odzyskane” stanowiły istną *tabula rasa*, na której można było budować nieskażony przeszłością socjalizm. Łódź, ze względu na tradycję monokultury przemysłowej oraz gorszą pozycję startową w dziedzinie przemysłu naukowo-usługowego,

została w tyle jeszcze w PRL-owskim „turnieju miast”.

Jak bardzo były marketingowe cięża na naszym myśleniu o polskich miastach widać w prostym porównaniu Łodzi z Krakowem. Podobny co do liczby mieszkańców Kraków, przez cały okres transformacji miał więcej osób zatrudnionych w przemyśle niż Łódź [17]. Nikt jednak nie odważyłby się nazwać Krakowa miastem przemysłowym – bo dla tych, których uwaga skupia się na wypromowanym marketingowo krakowskim Rynku, przemysł Krakowa pozostaje niewidoczny.

Poznań, czyli psucie miasta

Czy zatem Łódź jest miastem dobrym? Przeważnie. Wszystkie polskie miasta są równie złe. To, że jesteśmy dopiero na początku długiego i zapewne mozolnego procesu budowania może nie dobrego, ale przynajmniej lepszego miasta, widać po tym, o co walczą miejskie ruchy społeczne w Polsce.

Społeczne porozumienie My-Poznańcy powstało w 2007 r. w trakcie bojów o „Studium Uwarunkowań i Kierunków Zagospodarowania Przestrzennego Miasta Poznań” [18] W trakcie sporu otwarto puszkę Pandory, jaką jest obowiązująca polityka przestrzenna. Najczęściej polega ona na dogęszczaniu osiedli zamkniętych urbanistycznie i budowaniu nowych bloków w miejsce terenów, które wykorzystywane były przez mieszkańców w celach rekreacyjnych. W modernizacyjnym języku prezydenta Poznania, tereny zielone to „chaszczki”, które należy „zagospodarować”. W rzeczywistości, zabudowuje się place między blokami ze względu na niskie koszty – teren jest uzbrojony i można wykorzystać istniejącą infrastrukturę.

Podobnie jak w latach PRL-u, kiedy infrastruktura pozamieszkalna istniała głównie na makietach, obecnie deweloperzy nie są zainteresowani budową szkół, przedszkoli, a często nawet placów zabaw, nie mó-

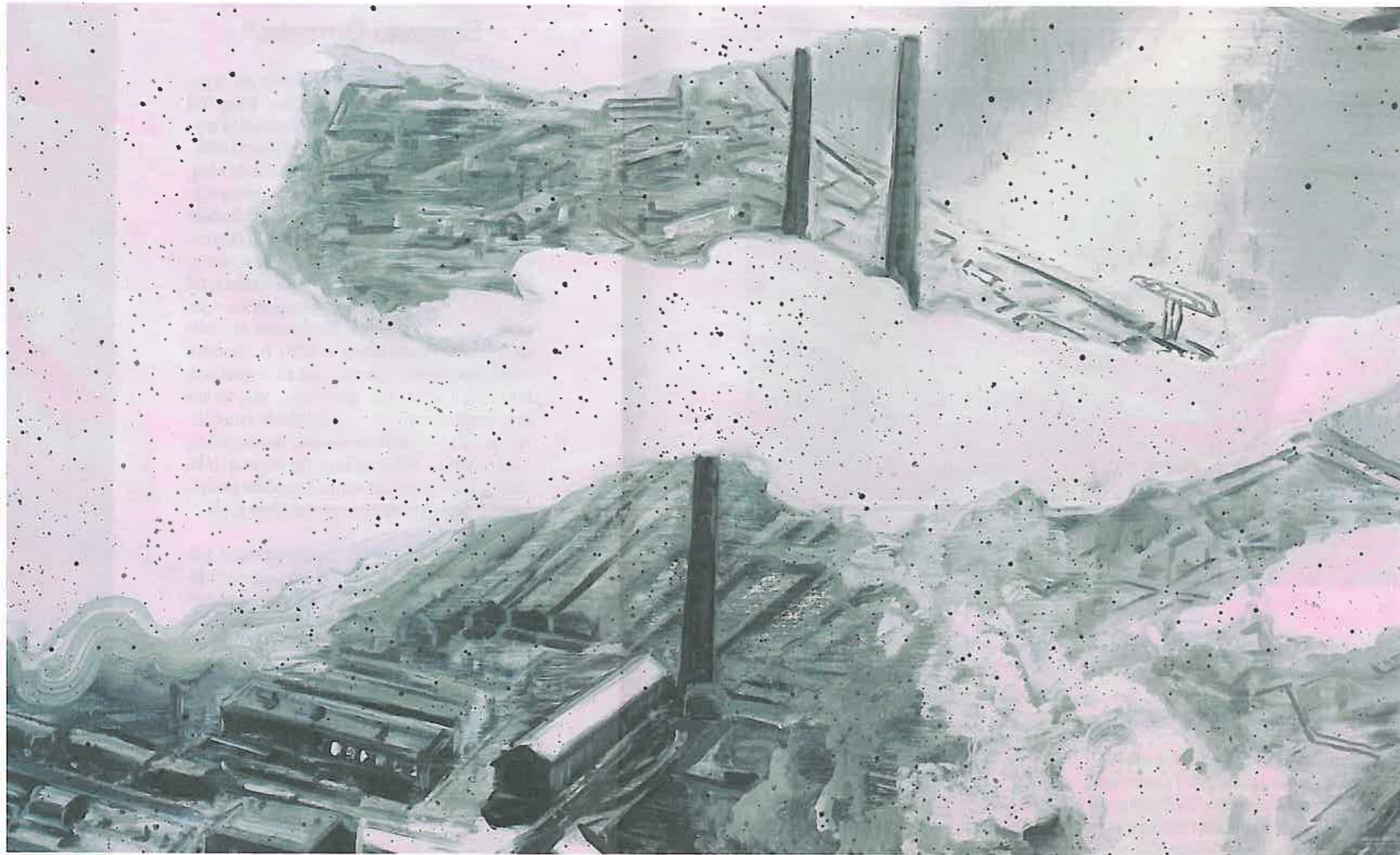
więc już o zapewr komunikacji. W efekcie uliczki stają się na komunikacyjnymi wycieczkami strzeżonych nawzajem opony jedno mieszkanie niż jedno miejsce sypialnie, w której cji dostępną dla wi z terenów zielonictwo deweloperski chlubną kontynuacji, ale i jego wyc kin i przedszkoli również i tereny zi

Od 2003 r. praktycznie się w zakresie w w naszych miastach wa tzw. „zasada dc

* Socjolog miasta, stypendysta Center for Place, Culture and Politics Uniwersytetu Miejskiego w Nowym Jorku (CUNY), członek Stowarzyszenia My-Poznaniacy.

URBANIZACJA PO POLSKU

i kariera złych miast w trzech odsłonach



ADAM ADACHI, SŁAZA, 2006 (ARCHIWUM CSW ZANIEK ULIZOWSKI)

wsamości ogólnie, że pojęcie „złego” z konstytutywną i Williams nazwał „uczuciem”.

że o ile wiedzę na wszydzie chodzą z doświadczenia coraz większą rolę miast spełniały już od dawna w 1975 r. Marcin woją wielokierunkowym znaczeniem kultury zasługami pro-na odnoszone do „Odrę” [16], bo uowioły istną tamna było budować socjalizm. Łódź, ionokultury przepozycję startową naukowo-usługowo,

została w tyle jeszcze w PRL-owskim „turnieju miast”.

Jak bardzo byty marketingowe ciężą na naszym myśleniu o polskich miastach widać w prostym porównaniu Łodzi z Krakowem. Podobny co do liczby mieszkańców Kraków, przez cały okres transformacji miał więcej osób zatrudnionych w przemyśle niż Łódź [17]. Nikt jednak nie odważyłby się nazwać Krakowa miastem przemysłowym – bo dla tych, których uwaga skupia się na wypromowanym marketingowo krakowskim Rynku, przemysł Krakowa pozostaje niewidoczny.

Poznań, czyli psucie miasta

Czy zatem Łódź jest miastem dobrym? Przeciwnie. Wszystkie polskie miasta są równie złe. To, że jesteśmy dopiero na początku długiego i zapewne mozolnego procesu budowania może nie dobrego, ale przynajmniej lepszego miasta, widać po tym, o co walczą miejskie ruchy społeczne w Polsce.

Społeczne porozumienie My-Poznania powstało w 2007 r. w trakcie bojów o „Studium Uwarunkowań i Kierunków Zagospodarowania Przestrzennego Miasta Poznania.” [18] W trakcie sporu otwarto puszkę Pandory, jaką jest obowiązująca polityka przestrzenna. Najczęściej polega ona na dogęszczaniu osiedli zamkniętych urbanistycznie i budowaniu nowych bloków w miejsce terenów, które wykorzystywane były przez mieszkańców w celach rekreacyjnych. W modernizacyjnym języku prezydenta Poznania, tereny zielone to „chaszczki”, które należy „zagospodarować”. W rzeczywistości, zabudowuje się place między blokami ze względu na niskie koszty – teren jest uzbrojony i można wykorzystać istniejącą infrastrukturę.

Podobnie jak w latach PRL-u, kiedy infrastruktura pozamieszkalna istniała głównie na makietach, obecnie deweloperzy nie są zainteresowani budową szkół, przedszkoli, a często nawet placów zabaw, nie mówią

już o zapewnieniu czy usprawnieniu komunikacji. W efekcie, drobne osiedlowe uliczki stają się nagle głównymi arteriami komunikacyjnymi, a mieszkańcy luksusowych strzeżonych osiedli przebijają sobie nawzajem opony w samochodach, bo na jedno mieszkanie zaplanowano tam mniej niż jedno miejsce parkingowe i trwa batalia o to, czyje auto zostanie zaparkowane. W ten sposób polskie miasta już coraz bardziej funkcjonują wyłącznie jak ogromne sypialnie, w których jedyną formą rekreacji dostępną dla większości jest korzystanie z terenów zielonych. W tym sensie, budownictwo deweloperskie stanowi nie tylko niechlubną kontynuację PRL-owskiego trendu, ale i jego wyolbrzymienie. Basenów, kin i przedszkoli wciąż nie ma, a znikają również i tereny zielone.

Od 2003 r. praktycznie o wszystkim, co dzieje się w zakresie wykorzystania przestrzeni w naszych miastach decyduje pięciopunktowa tzw. „zasada dobrego sąsiedztwa”, która

początkowo miała pełnić rozstrzygającą rolę jedynie w wyjątkowych sytuacjach. Głosi ona, w uproszczeniu, że jeśli dla danego obszaru nie został uchwalony miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego, wolno budować obiekty podobne do tych, które już tam stoją. Jest ona często wykorzystywana arbitralnie. Zdarza się też, że uchwalenie planu miejscowego zostaje wstrzymane, aby można w oparciu o nią wydać decyzję korzystną dla dewelopera. Na przykład na terenie istniejącego parku pozwala się na budowanie osiedla, bo przecież wokół stoją już bloki. Często dochodzi do nadinterpretacji: obok istniejących 4-piętrowych domów wyrastają 11-piętrowe wieżowce – jedne i drugie są przecież „wielokondygnacyjne”.

Na przykład: od 20 lat ciągnie się w Poznaniu sprawa Parku Rataje. Pomimo że plany zawsze przewidywały ten park, miasto sprzedało część działek deweloperom. Dzięki nadinterpretacji „zasady dobrego sąsiedztwa” doprowadzono tam do rozpoczęcia budowy części osiedla mieszkalnego. W końcu czerwca br. prezydent Poznania wstrzymał opracowywanie planu miejscowego, który miał chronić tereny zielone przed dalszą zabudową. Jednocześnie forsuje opracowanie takiego samego planu dla historycznej dzielnicy Sołacz, stanowiącej w dużej części obszar chroniony w klinie zieleni. Przedłożony projekt planu zabezpiecza nie zieleni, a plany budowy przez deweloperów luksusowych osiedli willowych. Zestawienie tych dwu spraw pokazuje, iż magistrat angażuje się tam, gdzie w grę wchodzi interes „inwestorów”, a wycofuje się z tych spraw, gdzie mógłby sprzyjać mieszkańcom. Jednocześnie miasto sabotuje tańsze budownictwo po to, aby nie „psuć” rynku deweloperom. Dzięki temu przez ostatnie lata bańka mieszkaniowa wciąż rośnie, a deweloperzy notowali zyski rzędu 30 do 50 procent. [19]

Nasze prawo do miasta

Nie tylko większość mieszkańców pozbawiono w ten sposób szans na własne mieszkanie, ale miasto i deweloperzy nie dbają nawet i o bogatych. Sołacz nie został dotychczas zabudowany m.in. dlatego, że obszar na którym leży przypomina gąbkę nasączoną wodą. Dzięki temu znajduje się tam bogata flora. To stanowi o „atrakcyjności inwestycyjnej” terenu. Jednak Sołacz można zabudować tylko po radykalnej ingerencji w ekosystem – m.in. przez osuszenie podmokłych gruntów. Roślinność zacznie usychać po wybudowaniu osiedli – zatem „wille w klinie zieleni” to czysta marketingowa fikcja.

O ile podczas pierwszej dekady „transformacji”, władze przede wszystkim skupiały się na prywatyzacji zasobów przemysłowych,

tak utowarowienie miast (podobnie jak reindustrializacja Wrocławia czy Łodzi) rozpoczęły się na dobre po wejściu do Unii. Większość zmian formalno-prawnych, na podstawie których naszymi miastami rządzą dziś deweloperzy, odbyło się w przełomowym roku 2003. To dlatego miejskie ruchy obywatelskie w Polsce są stosunkowo młode. Ujawniły się one przede wszystkim w roku 2009, który również z tego powodu przejdzie zapewne do historii.

W maju uchroniono przed zabudową warszawskie Pola Mokotowskie. W Gdańsku-Wrzeszczu trwa konflikt o Quatro Towers. Dzięki inicjatywie obywatelskiej (zwłaszcza warszawskiego Stowarzyszenia Sąsiedzkie Włochy) udało się skłonić Prezydenta RP do niepodpisania ustawy przegłosowanej przez Sejm i Senat w kwietniu i uratowano ostatki planowania przestrzennego (zapobiegając m.in. likwidacji pozwoleń na budowę). Pod presją mieszkańców i mediów, prezydent Grobelny wznowił we wrześniu prace nad Parkiem Rataje, a w batalii prawnej z deweloperem na razie górą są mieszkańcy. Po tym jak od 1 września z Gliwic zniknęły tramwaje (zastąpione autobusami), Obywatelski Komitet Obrony Tramwajów zebrał 19 tys. podpisów i zorganizował referendum w sprawie odwołania prezydenta i rady miasta. Odbędzie się ono 8 listopada. Bez względu na wynik, jest to wydarzenie precedensowe. Po raz pierwszy to nie kwestia obyczajowa (Olsztyn) czy kryminalna (Sopot) mobilizuje mieszkańców przeciwko władzy źle wykonującej swoje obowiązki. Jak przekonuje David Harvey, nasze miasta i tak zostaną diametralnie odmienione przez obecny kryzys – pora zatem upomnieć się o prawo do ich współtworzenia. [20]

Tekst powstał jako refleksja po spotkaniu w cyklu „Łódzki Gość”, które odbyło się z autorem w Muzeum Miasta Łodzi 24 kwietnia 2009 r.

[1] Zygmunt Bartkiewicz, *Złe Miasto*, Biblioteka Tygla Kultury, t. 14 (Łódź: Fundacja Anima Tygiel Kultury, 2001).

[2] Wojciech Bartkowiak, „Warszawa nie da się lubić”, *Gazeta Wyborcza*, 26.02.2007.

[3] Andreas Billert, „Zagadka grobelizmu”, *Gazeta Wyborcza*, 01.10.2009.

[4] Jerzy Sawka, „Wrocław, paw wśród polskich miast”, *Gazeta Wyborcza* Wrocław, 19.02.2007.

[5] Jan Drahoukupil, *Globalization and the state in Central and Eastern Europe: the politics of foreign direct investment*. Nowy Jork: Routledge, 2008.

[6] Maciej Nowaczyk, „Polska potęgą AGD w Europie”, *Gazeta Wyborcza* Wrocław, 31.07.2007.

[7] Wyniki badań zostały częściowo opublikowane w: Don Kalb, „Conversations with a Polish populist: Tracing hidden histories of globalization, class, and dispossession in postsocialism”, *American Ethnologist*, vol. 36, nr 2, maj 2009, str. 207-223.

[8] Hanna Imbs, „Miasta w kulturze polskiej doby przemysłowej”, *Miasto i kultura polska doby przemysłowej*. Tom I: *Przestrzeń*, Ossolineum, Wrocław 1988, s. 87.

[9] Błażej Brzostek, *Za Progiem: Codziennosc W Przestrzeni Publicznej Warszawy Lat 1955-1970*, Wydawnictwo Trio, Warszawa 2007

[10] Jerzy Darnal, „Teraz i jutro”, *Odgłosy* nr 7 (1969), str. 1, 3.

[11] Konrad Frejdllich, „Przyczółek”, *Odgłosy* nr 16 (1968), str. 5.

[12] Konrad Frejdllich, „Archipelag nie nazwany”, *Odgłosy* nr 49 (1959), str. 1, 6.

[13] Bogda Madej, „Śladami ludzi, śladami książek” (rozmowa z Januszem Duninem), *Odgłosy* nr 29 (1976), str. 3-5. Do identycznych wniosków doszedł Padraic Kenney w *Rebuilding Poland: Workers and Communists, 1945-1950*, Cornell University Press, Ithaka 1997, str. 342.

[14] Waclaw Piotrowski, *Społeczno-przestrzenna struktura m. Łodzi: studium ekologiczne*, Ossolineum, Wrocław 1966, str. 22, Zbigniew Rykiel, *Przemiany struktury społeczno-przestrzennej miasta polskiego a świadomość terytorialna jego mieszkańców*, Continuo, Wrocław 1999, str. 56, 139-140.

[15] Aleksander Wallis, *Informacja i gwar: o miejskim centrum*, PIW, Warszawa 1979, 57-59.

[16] Marcin Czerwiński, *Życie po miejsku*, PIW, Warszawa 1975, s. 13.

[17] W 2007 r. w Krakowie w przemyśle i budownictwie pracowało 67 852 osób, natomiast w Łodzi – 64 591 osób. Źródło: *Pracujący w gospodarce narodowej w 2007 r.*, GUS, str. 49, 60, 63.

[18] Lech Mergler, *Poznań Konfliktów*, Wydawnictwo Lepsi Świat, Poznań 2008, por. Bartłomiej Grubich „Miejska Wojna” *Obywatel* 46 (2009): 123-126.

[19] Maria Wilska, „Grobelizm w polityce mieszkaniowej” *My-Poznaniacy.org* 24.09.2009, http://my-poznaniacy.org/index.php?option=com_content&task=view&id=197&Itemid=55

[20] David Harvey, „Za katastrofę obwinia się ofiary”, *Przegląd* 24.05.2009, str. 12-14.